

## PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

Paweł Surdacki

# Wschodniokarpackie wędrówki po kresach II Rzeczypospolitej

Z pojęciem Karpaty Wschodnie po raz pierwszy zetknąłem się na kursie prowadzonym przez Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, który ukończyłem w 1978 r., będąc na II roku studiów na Politechnice Lubelskiej. Zdobyte uprawnienia przewodnickie dotyczyły jedynie gór Beskidu Niskiego i Bieszczadów Zachodnich oraz przylegających do nich od północy Pogórz: Ciężkowickiego, Strzyżowskiego, Dynowskiego oraz Przemyskiego. Pierwsza z tych grup górskich należy do Beskidów Zachodnich, które wchodzi w skład Karpat Zachodnich. Z kolei Bieszczady Zachodnie, należące już do Beskidów Wschodnich i razem z nimi do Karpat Wschodnich, rozciągają się od Przełęczy Łupkowskiej na zachodzie aż do Przeł. Użockiej na wschodzie, leżącej na Ukrainie tuż za naszą granicą.

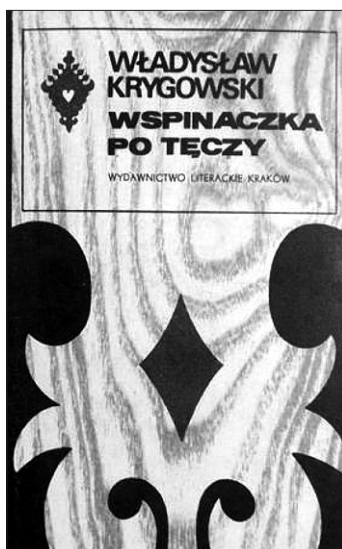
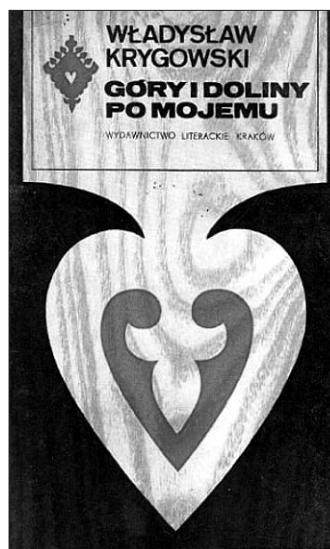
Aż do lat dziewięćdziesiątych, dla przeciętnego polskiego turysty termin Bieszczady ograniczał się tylko do Bieszczad Zachodnich, leżących na terenie Polski. Mało turystów miało świadomość, że ich przedłużeniem na wschód od Przeł. Użockiej są Bieszczady Wschodnie, wraz z którymi należą one do rozległych Beskidów Wschodnich, leżących w większości na terenie Ukrainy.

Poznanie terenu uprawnień poprzez systematyczne prowadzenie przeze mnie obozów wędrownych i tras rajdowych, głównie dla studentów z Lublina, ale także i z innych środowisk akademickich Polski, było bardzo wciągające i pozwoliło mi na coraz dokładniejsze poznanie Beskidów leżących na terenie obecnej Polski. Natomiast Beskidy Wschodnie leżące dziś na terenie Ukrainy, a których znaczna część przed II wojną światową była

w granicach Polski, wciąż były okryte mgłą tajemniczości. Prawie do końca lat osiemdziesiątych turyści polscy nie odwiedzali tych terenów, gdyż należały one do Związku Radzieckiego i jakiegokolwiek wyjazdy turystyczne na dawne ziemie polskie niezorganizowane odgórnie przez władze były nie do pomyślenia. Nie istniała też jakiegokolwiek współczesna polska literatura przewodnikowa na temat Beskidów Wschodnich. Nieliczne wzmianki o tych terenach były jedynie przemycane w nielicznych wspomnieniach przedwojennych działaczy turystycznych, którzy kiedyś odbywali tam wędrówki.

Dużym przeżyciem dla mnie i kolegów z lubelskiego środowiska przewodnickiego były zorganizowane w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku przez Koło PTTK nr 1 przy KUL wspomnieniowe spotkania z dwoma, już wówczas sędziwymi, nestorami polskiej turystyki w Karpatach Wschodnich.

Pierwszy z nich, Władysław Krygowski (1906–1998), znany był w środowisku turystycznym jako autor czterokrotnie wznawianego czterotomowego przewodnika po polskich Beskidach, będącego aż do lat dziewięćdziesiątych niezbędnikiem każdego rasowego turysty górskiego. Bardziej mnie jednak intrygowały jego wspomnienia z przedwojennych wędrówek po Karpatach Wschodnich, których północno-wschodnia część leżała w granicach II Rzeczypospolitej. Wspomnienia te w formie literackiej, ale bynajmniej nie przewodnikowej, zawarł Władysław Krygowski w niektórych rozdziałach swoich książek opublikowanych w latach 1977–1987 przez Wydawnictwo Literackie: *Góry i doliny po mojemu*, *W litworowych*



Władysław Krygowski i jego literackie wspomnienia z wędrówek po Karpatach Wschodnich



Władysław Midowicz i ruiny obserwatorium „Białe Słoń” na szczycie Popa Iwana

*i piarżystych kolebach, Wspinaczka po tęczy i Góry mojego życia.*

Opisywał on w tych dziełach m.in. piękno pasm górskich Czarnohory i Gorganów, zamieszkałych przez Huculów i Bojków, ale przede wszystkim niesamowite wrażenia z wędrówek po tych rozległych, wysokich jak na Beskidy, bo przekraczających w niektórych szczytach wysokość 2000 m n.p.m., i dzikich obszarach, jakich nie znajdziemy już w granicach obecnej Polski. W swych opisach wymieniał wiele nazw szczytów, przełęczy, polonin, potoków, miejscowości i schronisk turystycznych, które wtedy wydawały się nam bardzo egzotyczne, odległe i zupełnie nieosiągalne ze względu na powojenne uwarunkowania polityczne. Bezpośrednie spotkanie z romantyki gór, jakim był Władysław Krygowski, i słuchanie jego opowieści o przedwojennych Karpatach Wschodnich pogłębiło nostalgię do tych pięknych gór i niemożliwą wtedy do zrealizowania chęć ich osobistego poznawania.

Podobne wrażenia pozostawiło też pasjonujące spotkanie z drugim nestorem polskiej turystyki górskiej Władysławem Midowiczem (1907–1993), który urodził się w Mikuliczynie nad Prutem u stóp pasma Gorganów, a więc na Huculszczyźnie. Znany on był do tej pory jako wybitny organizator turystyki polskiej i twórca znakowania szlaków turystycznych w rejonie Babiej Góry, w tym tzw. Perci Akademików na szczyt Diablaka (1725 m n.p.m.) – najwyższego szczytu w obecnych polskich Beskidach. To co jednak najbardziej intrygowało nas, młodych turystów i przewodników górskich, to fakt, że był w latach 1937–1939 pierwszym i jednocześnie ostatnim kierownikiem Obserwatorium Astronomiczno-Meteorologicznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego na Popie Iwanie w Czarnohorze.

Obserwatorium to było jednym z dwóch najnowocześniejszych w Europie obserwatoriów astronomicznych. Wybudowane zostało na trudno dostępnym szczycie Pop Iwan (2028 m n.p.m.), tuż przy granicy polsko-węgierskiej, i było przez 14 miesięcy, aż do wojny, najwyższym stale zamieszkanym budynkiem w granicach Polski. Obserwatorium, wzniesione ogromnym nakładem

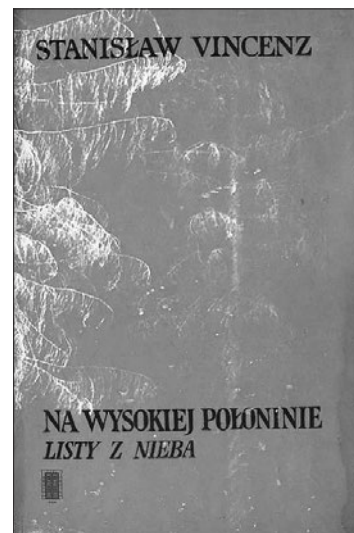
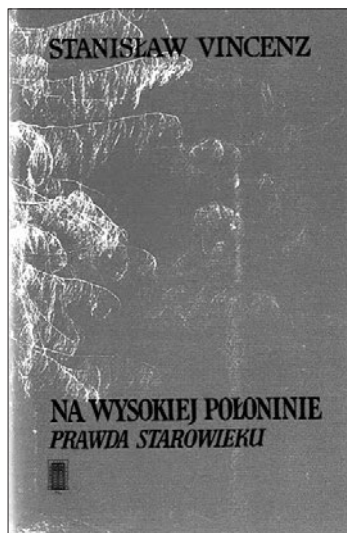
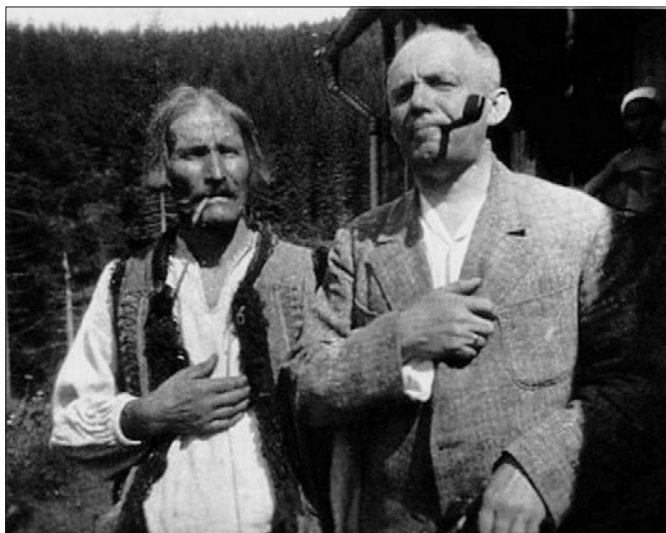
finansowym państwa polskiego, stanowiło nowoczesnie zaprojektowany obiekt mieszczący najwyższej klasy aparaturę optyczną, astronomiczną i meteorologiczną, jak też własny nowoczesny generator elektryczny.

Bardzo wysokie koszty budowy i utrzymania, a także brak zrozumienia dla potrzeby istnienia placówki sprawiły, że obiekt nazywany był ironicznie „Białym Słońem”, będącym symbolem rzeczy niezwykle drogiej i całkowicie zbędnej. Nazwa ta funkcjonuje aż do dziś, choć teraz bardziej może kojarzy się z charakterystycznym kształtem ruin wielkiego budynku, szczególnie pokrytego w całości śniegiem, przypominającego też zamek obronny.

W obliczu agresji sowieckiej, z polecenia polskich władz, 18 września 1939 r. Władysław Midowicz opuścił placówkę i udał się na Węgry. W ciągu następnych lat opuszczony budynek obserwatorium uległ zdewastowaniu i rozszabrowaniu przez miejscową ludność i obecnie jest w ruinie.

Słuchając i czytając wspomnienia, zarówno W. Krygowskiego, jak i W. Midowicza, myślałem o dawnych polskich Karpatach Wschodnich, jako o terenach całkowicie utraconych, abstrakcyjnych i obecnie zupełnie niedostępnych dla turystów z Polski.

O tych terenach, a szczególnie o życiu ich dawnych mieszkańców Huculów, można było się również dowiedzieć z wydanego w niewielkim nakładzie przez Instytut Wydawniczy PAX na początku lat osiemdziesiątych cyklu czterech książek literackich pod wspólnym tytułem *Na wysokiej poloninie*. Autorem ich był Stanisław Vincenz (1888–1971), wybitny, choć w powojennej Polsce niedoceniany i przemilczany przez władze, prozaik i eseista, miłośnik, znawca i piewca terenów Czarnohory, zwany Homerem Huculszczyzny. Urodził się w Słobodzie Rungurskiej, uczył się w gimnazjum w Kołomyi oraz w Stryju, a następnie studiował we Lwowie i w Wiedniu. Aż do 1940 r. mieszkał na Huculszczyźnie, gdzie miał dom we wsi Bystrec w Czarnohorze. Lata wojny przeżył na Węgrzech, natomiast resztę życia spędził na emigracji we Francji i Szwajcarii, gdzie powstały jego kolejne dzieła opisujące Huculszczyznę. Zmarł w Lozannie, a prochy jego przeniesiono do Krakowa w 1991 r.



Stanisław Vincenz z Huculem Matijko Zelenczukiem i jego dzieło *Na wysokiej połoninie*

Czytając jego czteroksiąg *Na wysokiej połoninie* mogliśmy jedynie wyobrazić sobie przepiękne górskie tereny Huculczyzny oraz barwny folklor mieszkańców, bez nadziei na ich naoczne poznanie.

Okazało się jednak, że po latach nasze marzenia i tęsknoty do utraconych gór mogły się spełnić w 1989 r., po tzw. pieriestrojce w Związku Radzieckim oraz przemianach demokratycznych w Polsce. W lipcu 1989 r. udało się zorganizować w ramach Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich pierwszą w środowisku lubelskim dwutygodniową wyprawę w ukraińskie Karpaty Wschodnie. Uczestniczyło w niej dziesięciu przewodników SKPB, a wyjazd miał charakter biwakowy, tzn. mieliśmy ze sobą duże plecaki z namiotami i podstawową żywność na wszystkie dni wędrowki.

Pierwszym etapem wyjazdu był Lwów, równie nieznaną i egzotyczną jak główny cel wyprawy, czyli Beskidy Wschodnie. Dawne polskie miasto, będące wówczas jeszcze pod władzą radziecką, po raz pierwszy przez nas zwiedzane, budziło zachwyt nad niegdysiejszą świetnością cennych zabytków, jednocześnie jednak powodowało smutek i przygnębienie, że wiele z nich jest trudno dostępnych lub nie funkcjonuje zgodnie ze swym przeznaczeniem z różnych powodów. Przykładowo, największa i kiedyś najpiękniejsza świątynia ery nowożytnej we Lwowie – neogotycki kościół pw. św. Elżbiety, był szczelnie otoczony ogrodzeniem i niedostępny, sprawiał wrażenie ruiny, z zewnątrz widać było jedynie puste okna bez witraży i wieże bez dachów. Brak konserwacji i celowa dewastacja spowodowały wiele zniszczeń w wyposażeniu i dekoracji. Mieścił się tu magazyn kombinatu cukierniczego. Inny kościół pw. św. Anny mieścił sklep meblowy, a wcześniej kasy kolejowe. Z kolei w barokowym kościele i klasztorze Dominikanów urządzone było muzeum historii religii i ateizmu, podczas zwiedzania którego przy pewnej dociekliwości mogliśmy dostrzec polskie napisy na tablicach i nagrobkach, np. na epitafium malarza i rysownika Artura Grottgera, zasłonięte planszami promującymi ateizm. Na Starym Mieście odwiedziliśmy trzy katedry różnych obrządków: łacińskiego, prawosławnego i ormiańskiego. Dostanie się do

tej ostatniej wymagało sporej inicjatywy, gdyż formalnie była nieczynna. Po II wojnie światowej, wobec wyjazdu do Polski niemal wszystkich lwowskich Ormian wraz z duchowieństwem oraz likwidacji przez władze radzieckie wszelkich struktur obrządku ormiańsko-katolickiego, katedrę zamknięto i od 1946 r. wykorzystywano jako magazyn Lwowskiej Galerii Obrazów. W związku z tą ostatnią funkcją niemal całe wnętrze zabudowane było rusztowaniami i tylko z małego prezbiterium mogli potajemnie korzystać nieliczni Ormianie.

Bez szczególnych zabiegów mogliśmy natomiast zwiedzić rokokową katedrę św. Jura, stanowiącą najcenniejszy zabytek Lwowa, która znajduje się w pewnym oddaleniu od Starego Miasta. Była ona pierwotnie greckokatolicka, a po likwidacji Kościoła greckokatolickiego na radzieckiej Ukrainie i przyłączeniu jego struktur do moskiewskiej Cerkwi prawosławnej w 1946 r. w wyniku tzw. synodu lwowskiego, stała się ona soborem prawosławnym. Hierarchowie i kapłani, którzy nie podporządkowali się tej decyzji, byli prześladowani i represjonowani, wielu z nich zamordowano lub zesłano do łagrów. Katedra powróciła do grekokatolików dopiero po przemianach politycznych w 1990 r. W jej podziemiach pochowani zostali metropolici lwowscy, m.in. Andrej Szeptycki (zm. 1944), a po powstaniu wolnej Ukrainy – Josyf Slipej (zm. 1984) i Myrosław Lubacziwski (zm. 2000). Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się wtedy, że nielegalna Cerkiew greckokatolicka funkcjonuje w podziemiu, nabożeństwa są potajemnie odprawiane w domach rodzinnych, funkcjonuje też podziemne seminarium duchowne.

Zwiedzając Lwów nie omieszkaliśmy, jako turyści górscy, wspiąć się na Wysoki Zamek, najwyższe wzniesienie Roztocza, którego naturalna wysokość wynosi 398 m n.p.m. Po usypaniu na nim Kopca Unii Lubelskiej wierzchołek został podwyższony o 15 m. Kopiec rozpoczęto sypać w 1869 r. siłami społecznymi z inicjatywy Franciszka Smolki w trzechsetną rocznicę uchwalenia Unii Lubelskiej. Budowę kopca ukończono po ponad 30 latach w 1900 r.

Po intensywnym zwiedzaniu Lwowa, który mimo widocznych śladów destrukcyjnej działalności sowiec-

kiej władzy, zrobił na nas duże wrażenie, wróciliśmy do naszego miejsca noclegu. Był to wagon pełniący funkcje noclegowe, który stał na boczniczy stacji kolejowej we Lwowie. W sąsiedztwie mieliśmy Dworzec Główny, który w czasach świetności Lwowa należał do najbardziej reprezentacyjnych budynków miasta, gdyż był jednym z największych i najnowocześniejszych dworców w Europie. W czasach radzieckich został jednak przebudowany i znacznie zdewastowany.

Po nocnej podróży koleją ze Lwowa przez Stanisławów (od 1962 r. Iwanofrankiwnsk) wysiedliśmy w Kołomyi, mieście nad Prutem, liczącym ok. 70 tys. mieszkańców, stanowiącym nieoficjalną stolicę Pokucia oraz tradycyjny ośrodek kultury huculskiej, odgrywający ogromną rolę w jej popularyzacji. Od nazwy miasta pochodzi słowo „kołomyjka” oznaczające rodzaj bardzo żywego tańca huculskiego.

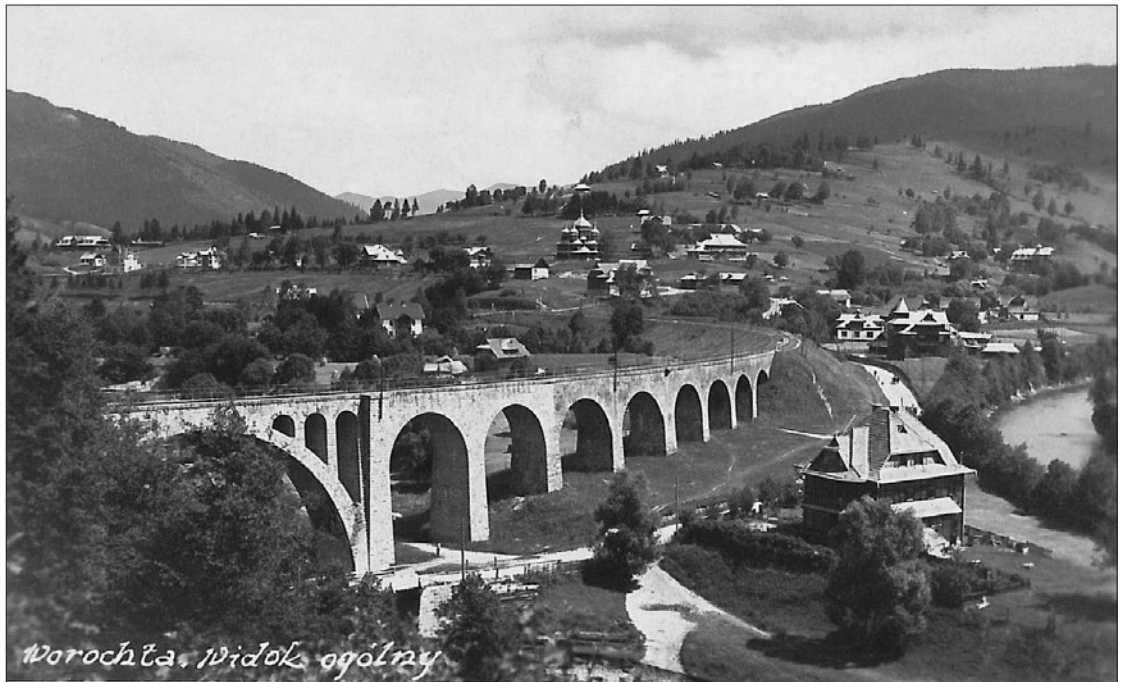
Z Kołomyi przejechaliśmy transkarpacką linią kolejową wiodącą ze Stanisławowa do Rachowa na Zakarpaciu wzdłuż rzeki Prut przez Delatyn, Jarzemcze, Mikuliczyn, Tatarów i Worochcę, a następnie tunelem

o długości 1216 m pod Przełęczą Woronienkowską (879 m n.p.m.). Linia ta zbudowana została w 1894 r. przez polskiego inżyniera Stanisława Kosińskiego. Przejeżdżając przez Worochcę mogliśmy też podziwiać dwa kamienne wiadukty kolejowe zaprojektowane w XIX w. przez inż. Zygmunta Kulkę, uznane za zabytek techniki, do dziś zachwycające śmiałością konstrukcji i elegancją sylwetki. Wiadukt górny (południowy) jest łukowato wygięty, liczy łącznie 130 m i należy do najdłuższych kamiennych mostów kolejowych w Europie. Obecnie jest wyłączony z użytkowania, gdyż obok zbudowano nowy wiadukt.

Dalsza trasa kolejowa wiodła już na Zakarpaciu do miejscowości Jasinie, leżącej w dolinie Czarnej Cisy u podnóża pasma Czarnohory i masywu Świdowca. W miejscowości tej zdeponowaliśmy na stacji kolejowej część naszego prowiantu na drugą czterodniową część wyprawy, która miała być w Czarnohorze, natomiast z Jasinie wyruszyliśmy na ośmiodniową wędrowkę poprzez masyw Świdowca i pasmo Gorganów, po której mieliśmy znaleźć się ponownie w tej miejscowości.

Obładowani ciężkimi plecakami ze sprzętem biwakowym i prowiantem, pokonaliśmy przewyższenie ok. 1000 m, przechodząc przez bazę turystyczną Drahostrat i osiągając główny grzbiet masywu Świdowca wznoszący się na wysokości ok. 1600–1700 m n.p.m. Po biwaku obok

źródła potoku, w przepięknej scenerii rozległej poloniny, zdobyliśmy oba wierzchołki Wielkiej Bliźnicy (1881 i 1872 m n.p.m.) – najwyższego szczytu Świdowca. Masyw ten prawie w całości pokryty jest poloninami. Składa się z krótkiego, masywnego grzbietu głównego, ciągnącego się z północnego zachodu na południowy wschód na długości około 25 km. Od głównego grzbietu rozciągają się na południe bardzo długie ramiona, zwane Płajami Świdowieckimi (Bliźnicki, Tatulski, Stajkowy, Apecki). Na północnych i wschodnich zboczach występują kotły polodowcowe z jeziorami. Powyżej wysokości 1300 m n.p.m. rozciągają się rozległe hale, wykorzystywane na



Wiadukt kolejowy kolei transkarpackiej w Worochcie

pastwiska i łąki. W przeciwieństwie do pobliskich pasm górskich bardzo słabo rozwinęła się tu kosodrzewina. Od wschodu Świdowiec graniczy z Czarnohorą (oddziela go od niej Dolina Czarnej Cisy). Na północy znajduje się Przełęcz Okole (1193 m n.p.m.), spod której wypływa Czarna Cisa, rozdzielająca Świdowiec i Gorgany. Od wschodu, za rzeką Tereswą, znajduje się Polonina Krasna. Na południu rzeka Cisa stanowi granicę między Ukrainą a Rumunią, a góry, które znajdują się dalej, to Karpaty Marmaroskie. Świdowiec leży już na Zakarpaciu, a przed II wojną światową w całości znajdował się na terenie Czechosłowacji oraz na krótko na terenie Węgier. Jest największą karpacką poloniną, pokrytą rozległymi łąkami alpejskimi. Z przyjemnością wspominam wędrowkę przez Świdowiec, a szczególnie piękne biwaki z rozległymi widokami. Po mozolnym wspięciu się na Bliźnicę, dalszą wędrowkę prowadziliśmy przez kilka dni głównym grzbietem bez zbędnego tracenia wysokości przez szczyty: Stih (1704 m n.p.m.), na zboczach którego znajduje się obecnie ośrodek narciarski Drahostrat, Kraczuńska (1686), Welyki Kotel (1770), Worozeska (1731), grzbiet Apszyniec i Geryszaska (1762) z jeziorkami o tych samych nazwach, Trojaska (1762), Tataruka (1707), w rejonie którego mieliśmy drugi biwak, aż do przełęczy Okole (1193). Ponad tą przełęczą, na zbroczu Bratkowskiej, znaj-



Krzyż i tablica na Przełęczy Legionów (1110 m n.p.m.)

duje się symboliczne źródło Czarnej Cisy, ojczyściej rzeki Węgrów, uważanej za główne źródło Cisy, upamiętnione obeliskiem i ukraińsko-węgierską tablicą.

Z przełęczy Okole rozpoczęliśmy wspinaczkę w masyw Bratkowskiej (1788) zwanej Czarną Połoniną, która należy już do grupy górskiej Gorganów – najrozleglejszej i najtrudniejszej do chodzenia grupy Beskidów Wschodnich, rozciągającej się od Przełęczy Wyszowskiej (933) na zachodzie aż po Przełęcz Jabłonicką (930) na wschodzie. Długość pasma w linii prostej wynosi ok. 60 km, a jego szerokość waha się od 30 do 35 km. Dalsza część wędrowki była bardziej wymagająca, niż w pasmie Świdowca, ze względu na liczne podejścia i zejścia, gęstą i trudną do przechodzenia kosodrzewinę, jak i olbrzymie rumowiska wielkich głazów skalnych, zwane gorganami, przez które nie prowadziły żadne wygodne ścieżki. Natomiast wobec braku jakichkolwiek szlaków turystycznych, znacznym ułatwieniem w orientacji w terenie były dość dobrze zachowane słupki z dawnej granicy polsko-czechosłowackiej, których numery znajdowały się na przedwojennych mapach wojskowych WIG-u w skali 1 : 100 000. Dysponowaliśmy wówczas tylko odbitkami tych map, nie było mowy o żadnych współczesnych mapach turystycznych, bo po II wojnie światowej prawie nikt nie chodził po Gorganach. Dalsza wędrowka prowadziła przez Grope (1758), Durnię (1705), a następnie po biwaku w rejonie przełęczy Pantyrskiej (1065) i wejściu na Pantyr (1213) zeszliśmy na przełęcz Rogodze Wielkie (1110), bardziej znaną jako Przełęcz Legionów. Znajduje się ona ponad wsią Rafajłowa (obecnie Bystrycia), z której w październiku 1914 r. polscy legionieści wybudowali na przełęcz drogę pozwalającą na przeprowadzenie głównych sił uderzeniowych. Trasa ta została nazwana Drogą Legionów, a na przełęczy znajduje się Krzyż Legionów. Jest on jednym z niewielu zachowanych symboli polskiej walki o niepodległość na obszarze Gorganów.

Na kamiennej tablicy pod krzyżem od polskiej strony widnieje czterowiersz: „Młodzieży polska, patrz na ten krzyż! Legiony polskie dźwignęły go wzwyż, przechodząc

góry, lasy i wały, do Ciebie Polsko, i dla twej chwały”. Autorem tych słów był legionista Adam Szania.

Dalsza trasa wędrowki wiodła dawną granicą państwową, niestety po II wojnie światowej zarośniętą kosodrzewiną, a więc wymagającą mozolnego przedzierania się przez nią, po grzbiecie Taupiszyrki (1464) na połoninę Ruszczyzna. Mieliśmy tam dogodne miejsce biwakowe w pobliżu ruin przedwojennego polskiego schroniska zbudowanego w 1938 r. przez Lwowski Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego u stóp Sywuli (1836), najwyższego szczytu Gorganów. Zdobycie na lekko tego szczytu było dla nas obowiązkowe, a rozległa dookólna panorama z niekończącym się morzem gór uświadomiła nam rozległość i wyjątkowość tych gór. Następnego dnia czekało nas długie zejście z Ruszczyzny nad kotłem uroczyska Piekło przez połoniny Korotkańską i Gaworską na Heczurę i Kruhleczkę, gdzie mieliśmy biwak. Ostatni mozolny odcinek zejścia doliną Sałatruka prowadził przez bardzo rozjeżdżoną i błotnistą drogę do wsi Rafajłowa, położonej w dolinie Bystrzycy Nadwórniańskiej. Po tygodniowej wędrowce przez bezludne góry wieś ta była dla nas wyczekiwany przejawem cywilizacji. Jednak tylko na krótko zatrzymaliśmy się tam, aby obejrzeć piękną huculską cerkiew i przechodząc koło cmentarza z zaniedbanym pomnikiem polskich legionistów wspomnieć o tzw. Rzeczypospolitej Rafajłowskiej i zwycięskiej bitwie z oddziałami rosyjskimi w styczniu 1914 r. Rzeczpospolita Rafajłowska była na przełomie lat 1914 i 1915 pierwszym od czasów rozbiorów całkowicie suwerennym obszarem odradzającej się Polski i symbolem kształtowania się postaw patriotycznych w powojennym dwudziestolecu.

Dalsza wędrowka z Rafajłowej wiodła na Połoninę Poleńską, którą osiągnęliśmy po mozolnej wspinaczkę bez ścieżki, po stromym stoku w dzikim lesie. Podczas wieczornego ogniska na biwaku u stóp gołoborza Wyżnich Skalek (1597) w masywie szczytu Poleńskiej (1693) mieliśmy miłą wizytę stada koni, które wykazywały zainteresowanie naszym pożywieniem i dawały się zaprzyjaźnić. Po tak miłym biwaku, następnego dnia rozpoczął się ciąg

naszych zmagania z Beskidami Wschodnimi, trwający aż do końca wyprawy. Zmuszeni byliśmy prowadzić walkę z górami nie tylko o zdobywanie zaplanowanych szczytów, ale przede wszystkim o pokonanie pojawiających się znacznych trudności orientacyjnych w stromym górskim terenie, gdzie nie ma już żadnych ścieżek. Zmuszeni byliśmy więc do wędrówki z ciężkimi plecakami przez dziki las, po kamieniach porośniętych mchami, trawami i paprociami, przeplecionych korzeniami limb i świerków, potykając się i próbując nieustannie odnaleźć właściwą drogę. Po morderczej wędrówce w rejonie Steryszorki (1568), trawersując od południa szczyt Pikuna (1651) i podchodząc gołoborzami osiągnęliśmy grzbiet Wedmeżyka (1736), którym mozolnie przedzieraliśmy się poprzez porośnięte głębokim mchem polany, osypujące się piargi. Walcząc przy każdym kroku z wszechobecną kosodrzewiną, dotarliśmy wreszcie na wierzchołek Doboszanki (1754). Wskutek nadciągającego załamania pogody zmuszeni byliśmy do szybkiego, ale jednocześnie w tych trudnych warunkach, w miarę bezpiecznego zejścia na Połoninę Nyznią w głębokiej dolinie potoku Zubrynka. Namioty rozbiliśmy przy rozpoczynającej się burzy i deszczu w bocznej dolince masywu Małego Gorganu (1592).

Po całonocnym deszczu i we mgle, zrezygnowaliśmy z pierwotnego zamiaru wejścia na Syniak (1665), decydując się na morderczy wielogodzinny trawers północnymi zboczami tego masywu, wzdłuż doliny potoku Zelenycia, po którym dotarliśmy na rozległą i piękną (przy dobrej pogodzie) Połoninę Chomiaków, która rozdziela masywy Syniaka i Chomiaka (1541). Po całodziennym wędrówce w deszczu zeszedliśmy z połoniny doliną potoku Werediowski, rozbijając namioty u jej wylotu przy poprawiającej się pogodzie. Następnego dnia doliną Prutca Jabłonickiego dotarliśmy do stacji kolejowej w Tatarowie, skąd przejechaliśmy pociągiem do Jasini. Tutaj też zakończyliśmy pierwszą ośmiodniową pętlę wędrówki.

Po odebraniu zdeponowanych zapasów oraz zakupieniu w sklepie chleba (całego zapasu), jak też słodczy, dżemów i soków, wyruszyliśmy pieszo na drugą część naszej wyprawy. Obejmowała ona znacznie wyższe, przekraczające wysokość 2000 m n.p.m. pasmo Czarnohory – najwyższe w całych Beskidach. Ciągnie się ono od doliny Czarnej Cisy na zachodzie, po dolinę Białej Cisy na południu i dolinę Czarnej Czeremoszu na wschodzie, granicząc od północy z Beskidem Huculskim. Pasma to charakteryzuje się znacznymi przewyższeniami, sięgającymi 1400 m ponad doliną Czarnej Cisy. Główny grzbiet ma lekko pofalowaną linię. Na północnych stokach Czarnohory jest wiele kotłów polodowcowych. Lasy dochodzą do wysokości ok. 1400 m n.p.m., powyżej natomiast rozciąga się piętro połonin i brak jest kosodrzewiny.

Trasa wiodła grzbietem i płajem Łopuszanka, który trawersuje Szesę (1552) oraz Pietrosuła (1853). Po dojściu do Hołowczeskiego Płaju biwakowaliśmy na połoninie na wysokości ok. 1300 m n.p.m. Przez całą noc padał deszcz. Rano przestało padać, jednak po przejściu trawersem Pietrosa (2020) na Przełęcz Harmanieską (1544) nastąpiło ponowne, tym razem całkowite, załamanie pogody. Wspinając się ścieżką grzbietową doszliśmy do przełęczy

przed szczytem Howerli, na wysokości ok. 1800 m n.p.m., gdzie zostawiliśmy plecaki. Stąd w strugach deszczu zdobyliśmy Howerlę (2061) – najwyższy szczyt Beskidów. Wierzchołek Howerli jest płaski i stanowi dość rozległy plac. Jednak mgła, padający cały czas deszcz i porywisty zimny wiatr, spowodowały, że po „zaliczeniu” długo wyczekiwanego szczytu, który miał być zwieńczeniem wyprawy, szybko zbiegliśmy do miejsca naszego biwaku. Biwak ten odbyliśmy w równie ekstremalnych, jak na szczycie Howerli, warunkach pogodowych. Z trudem udało się nam na wietrze i w deszczu rozłożyć namioty i przetrwać noc, zakładając na siebie wiele warstw ubrań. Następnego dnia pogoda jeszcze bardziej się popsowała, znacznie ochłodziło się i padał deszcz ze śniegiem. Przemoczeni i wyziębieni, w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych, przy braku widoczności, musieliśmy z żalem zrezygnować z dalszej wędrówki główną granią przez kolejne dwutysięczniki czarnohorskie aż do Popa Iwana (2028) ze słynnymi ruinami obserwatorium „Biały Słoń”.

W huraganowym wietrze, brodząc po kostki w kałużach wody, tą samą drogą zeszedliśmy do Przełęczy Harmanieskiej, a następnie po kilku godzinach dotarliśmy do osiedla szałasów pasterskich na Połoninie Hołowczeskiej pod Pietrosiem (2020). Za zgodą Hucułki rozlokowaliśmy się w jednym z tych szałasów, który mimo dość ciasnego wnętrza pozwolił nam jednak na rozpalenie ogniska, ugotowanie posiłku, rozłożenie się na pryzkach i wysuszenie ubrań. Po całonocnym pobycie przy ognisku byliśmy oczywiście całkowicie przesiąknięci dymem, co dało się odczuć w pociągu podczas podróży powrotnej do Lublina i w domu.

Powrót nastąpił tą samą trasą kolejową przez Kołomyję, Stanisławów, Lwów i Przemyśl. Wracaliśmy do domu zmęczeni i znacznie odchudzeni, po kilkunastu dniach bardzo intensywnej i wyczerpującej wędrówki, ale zadowoleni z pokonania bardzo wymagającej trasy i poznania fragmentu ukraińskich Beskidów Wschodnich. Pozostał jednak pewien niedosyt z powodu nieosiągnięcia legendarnego czarnohorskiego Popa Iwana i chęć powrotu w te góry.

Po dwóch latach, w 1991 r., Związek Radziecki przestał istnieć, Ukraina uzyskała niepodległość i przyjazdy Polaków do tego kraju stały się łatwiejsze i popularniejsze. Splot różnych okoliczności sprawił jednak, że w te magiczne dla polskich turystów góry powróciłem dopiero po 29-letniej przerwie w kolejnych latach 2018 i 2019, kiedy turystyka w tych terenach stała się bardziej popularna, choć na pewno jeszcze nie masowa. Wreszcie udało mi się zdobyć Popa Iwana z legendarnym „Białym Słoniem” – i to trzykrotnie w jednym roku, za każdym razem przy różnych, przeciwstawnych warunkach pogodowych, jak i najwyższą w Beskidach Wschodnich Howerlę – wreszcie przy znakomitej widoczności. Po latach ponownie udało się też wejść nie tylko na najwyższą w Gorganach Sywulę (1836) oraz kilka wysokich szczytów w tych górach, ale też w kolejne pasma ukraińskich Karpat Wschodnich – Góry Marmaroskie i Połoniny Hryniawskie.

Ale to już temat na następną opowieść...

Zdjęcia w tekście zaczerpnięto z zasobów Internetu.